



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Pogadanki z dziedziny chemii.

XIV. Inne sposoby łączenia się pierwiastków.

Rozpatrując prawa, jakim podlegają związki chemiczne, wypowiedzieliśmy zdanie, że dwa pierwiastki wtedy tylko się całkowicie łączą ze sobą, jeżeli weźmiemy je w ilościach ściśle określonych. Do tej reguły dodaliśmy jeszcze inną, która na pozór stoi w sprzeczności z pierwszą; przekonamy się jednak, że w gruncie rzeczy sprzeczność ta jest tylko pozorną.

Wiemy, że chcąc połączyć siarkę z tlenem trzeba wziąć 200 części wagowych pierwszej i 100 części drugiej. Można by sądzić, że nie podobna połączyć siarki z tlenem w innym stosunku, jak powyższy. Doświadczenie uczy jednak, że dzieje się inaczej.

Oddawna już chemicy potrafili otrzymać z tlenu i siarki dwie odmienne substancje. Teraz jednak udało się wytworzyć cały szereg rozmaitych związków chemicznych pomiędzy tymi dwoma pierwiastkami, biorąc je w rozmaitych, lecz zawsze ściśle określonych stosunkach wagowych. Fakt ten nie tylko nie obala powyżej wypowiedzianego prawa, że pierwiastki łączą się w ściśle określonych warunkach wagowych, lecz przeciwnie jeszcze bardziej je umacnia; rozpatrując te fakty, uczeni doszli do poznania bardzo ważnej prawdy: Weźmy rozmaite ilości siarki potrzebne do wytworzenia czterech ważnych związków tego pierwiastku z tlenem, a przekonamy się, że nie są to bynajmniej dowolne jakieś ilości, ale stojące względem siebie w pewnym, ściśle określonym stosunku.

Możemy więc połączyć 64 gramy siarki z 48 gramami tlenu, przyczem powstanie substancja stała zielonego koloru, dalej także sama ilość t. j. 64 gramy siarki daje się połączyć z 64 gramami tlenu, a rezultatem tego związku będzie bezbarwny gaz, zwany kwasem siarkowym, ma on bardzo przykrą, duszącą woń i tworzy się, kiedy spalamy siarkę w powietrzu. Trzeci związek siarki z tlenem otrzymujemy biorąc na każde 64 gramy siarki 96 gramów tlenu. Związek taki, zwany trójtlenkiem siarki, albo bezwodnikiem kwasu siarczanego przedstawia się jako biała iglasta masa, która z wodą daje zwykły kwas siarczany. Wreszcie łącząc 64 gramy siarki ze 112 gramami tlenu otrzymujemy czwarty związek, znany tylko chemikom.

Przypatrując się bliżej tym liczbom, widzimy, że tlen i siarka nie trzymają się tak ściśle prawa, na zasadzie którego ciała powinny się łączyć w pewnym określonym stosunku wagowym. Czyżby więc powyższa reguła była mylną? bynajmniej. Widzimy, że 64 części wagowe siarki nie łączą się z wszelką dowolną ilością tlenu, ale musimy brać tego gazu następujące ilości: w pierwszym wypadku 6×8 , w drugim 8×8 w trzecim 12×8 , w czwartym zaś 14×8 . Widzimy przeto, że tlen wytwarza rozmaite związki, lecz je go ilość w każdym następnym związku wzrasta w pewnym wielokrotnym stosunku, a mianowicie zwiększa się o stałą liczbę 8, wziętą 6, 8, 12 albo 14 razy. Ten uderzający stosunek musi doprowadzić nas do wniosku, że do wytworzenia chemicznego związku można brać jeden ze składających go pierwiastków w ilości podwójnej, potrójnej, poczwórnej, ale bynajmniej nie w każdej dowolnej ilości.

Takie stałe stopniowanie ilości jednego ze składników jakiegoś związku występuje jeszcze wyraźniej, jeżeli będziemy rozpatrywali połączenia tlenu z azotem.

Wiemy już, że 28 gramów azotu łączyć się może z 16 gramami tlenu. Dla uproszczenia liczb owe 28 części wagowych azotu nazwiemy po prostu jedną porcją azotu, jak równie 16 części wagowych tlenu będziemy nazywali także jedną porcją tlenu. Otóż istnieje pięć rozmaitych związków tlenu z azotem, w których porcja tlenu powiększa się 2, 3, 4, i 5-ciokrotnie; ale nie dowolnie, jakby można było przez nieporozumienie przypuszczać.

Doświadczenie uczy, że jedna porcja azotu z jedną porcją tlenu tworzą tlenek azotu. Jedna porcja azotu i 3 porcje tlenu dają trójtlenek azotu, czyli bezwodnik kwasu azotowego. Jedna porcja azotu i 4 porcje tlenu dają czterotlenek azotu. Jedna zaś porcja azotu i 5 porcji tlenu dają bezwodnik kwasu azotowego. Widzimy stąd, że do 28 części wagowych, przybywa stale porcja tlenu złożona z 16 części wagowych; jeżeli zaś nie weźmiemy całych 16 części wagowych, albo co na jedno wychodzi całej porcji, to nie powstanie żaden nowy związek.

Chcąc zrozumieć dobrze przyczynę takiego stanu rzeczy, musimy zapoznać się ze wspomnianymi powyżej atomami, czyli niedziałkami.

Wl. U.



H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).



— Szkoda, zapomniałem panu powiedzieć, że podróż nasza może potrwać kilka tygodni.

— Doprawdy?

— Nudno nam będzie siedzieć tak bez zajęcia.

— Czemu też wcześniej nie pomyśleliśmy o tem?

Cavor wyjrzał przez otwór i rzekł: — Patrz pan, widzę tam jakieś gazety.

— A czy mam jeszcze trochę czasu? zapytał.

— Blisko godzinę — za 50 minut piec zacznie stygnąć Cavorit utworzy się, stwardnieje i... ruszymy w dal. Wyjrzałem przez otwór. Widać robotnicy zostawiali przeczytane gazety, bo w jednym kącie leżał pognieciony numer: "Tit Bits (pismo humorystyczne), a w drugim podarty "Times." Zebrałem te okruszki dziennikarskie i wróciłem do Cavora. Teraz dopiero zobaczyłem, że przedmiot, który trzymał w ręku była to książka, wziąłem ją z rąk jego i otworzyłem.

— Dzieła Szekspira!

Cavor lekko się zaczerwienił i rzekł: — Moja edukacja była prowadzona specjalnie w jednym kierunku.

— I nie czytałeś pan Szekspira?

— Nie miałem dotąd czasu!

— To się nim teraz będziemy rozkoszowali, bo przyznam się panu ze wstydem, że i ja znam tylko niektóre z jego dzieł. Jest tak głęboki, że nie wszyscy go rozumieją i to nawet autorzy dramatyczni, jak ja.

Otwór w sferze zamykała najprzód ruchoma okiennica zrobiona z Cavoritu, a nad nią okiennica stalowa, i gruba szyba szklana. Gdyśmy przyśrubowali okiennicę, a później zapuścili szybę, będąc już wewnątrz, ciemność grobowa zapanowała w sferze.

Milczeliśmy obadwaj. Nagle przyszło mi na myśl, że w chwili odlotu będzie pewno silne wstrząśnienie, a wewnątrz naszej klatki nie było nic, za co możnaby się uchwycić. Rzekłem więc do Cavora:

— Dlaczego nie zabraliśmy żadnego siedzenia?

— Zaczekaj pan chwilę, pomyślałem o tem, — odparł ze zwykłym sobie spokojem.

Umilkłem. Chwila była uroczysta. Wiedziałem, co przeżyłem na ziemi, a niepewność tego co mnie spotka w nieznanych przestworach wszechświata zachwiała silnie mą ciekawość i odwagę. Choć oprócz trochę długów nic nie posiadałem na tym świecie, jednak żał mi się zrobiło, i żeby nie wstyd, że tchórzę w stanowczej chwili, byłbym poodkręcał dopiero co przykręcone śruby i drapał z przekłętą sferą.

Lecz w tej chwili kula lekko się wstrząsnęła, usłyszałem odgłos jakby ktoś odkorkował butelkę szampana, a potem przeciągły gwizd. Na jedno mgnienie oka uczułem, że nogi moje silnie ciągną ku dołowi. Dziwne to było uczucie... zaniepokojony zawołałem:

— Cavorze — dajmy pokój... Nie wytrzymam.

Cavor milczał. Nie widząc go w ciemności, zawołałem z rozpaczą. — Szalony jestem! — Dokąd i po co ja jadę? Wypuść mnie pan z tej ciemnicy!

— Już nie można, — odrzekł.

— Nie można! Zobaczmy.

— Zapóźno już na klótnie, Bedfordzie, — rzekł uroczyście. — To lekkie wstrząśnienie, które uczułeś, oddaliło nas od ziemi. Teraz lecimy w przestrzenie z szybkością kuli armatniej!

Oślupiałem na te słowa i zamilkłem. Wszystko zatem było skończone.

Po chwili uczułem straszne dzwonięcie w uszach, zdawało mi się, że dostanę ataku apoplektycznego, że ciało moje staje się nienaturalnie lekkie, uczucie to nieprzyjemne trwało wciąż, ale po kwadransie przyzwyczaiłem się do niego. Usłyszałem jakiś chrzęst i naraz ujrzałem jasne światło lampki elektrycznej; twarz Cavora była trupio biała, ja czułem, że tak samo muszę wyglądać. Spojrzeliśmy na siebie w milczeniu, obadwaj dziwnie przejęci niezwykłą naszą podróżą. W końcu rzekłem:

— Teraz jesteśmy uwięzieni.

— Tak, uwięzieni — potwierdził.

Chciałem wstać, ruszyć się z miejsca na znak, że żyję jeszcze, lecz Cavor zawołał szybko.

— Nie ruszaj się pan! Muskły nasze powinny się znajdować teraz w stanie zupełnego spokoju, tak jak wtedy gdy leżymy w łóżku. My w tej chwili stanowimy mały, światek oddzielony od całego wszechświata. Spojrz pan tylko na nasze bagaże

I ręką wskazał na rzeczy nasze, które umieściliśmy na dnie kuli, wszystkie te paczki, i wełniane kołdry zdawały się teraz płynąć w powietrzu, oddalone o całą stopę od szklanych ścian. Dążyły do środka sfery ku sobie. Zauważyłem, że i Cavor był także jakby zawieszony, na niczem nie oparty. Wyciągnąłem rękę poza siebie i przekonałem się, że ciało moje z żadnej strony nie dotykało szklanego wnętrza sfery, że i mnie coś trzymało w przestrzeni. Dziwny jakiś strach mnie ogarnął. Wyciągnąłem rękę dalej i dotknąłem szklanej ściany, która silnie przyciągnęła moje palce.

Pojąłem teraz doskonale, że jako odcięci całkowicie od wszelkiej siły przyciągającej z zewnątrz, przyciągamy się tylko wzajemnie do siebie. Skutkiem tego cokolwiek nie dotykało ścian, musiało powoli ciężać do środka naszego światka czyli naszej sfery.

— Trzeba się nam wykrecić, — rzekł Cavor, — plecami jeden do drugiego, a wszystkie rzeczy będą między nami.

Było to najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek w życiu doznałem. Strach prędko przeminął, zdawało mi się, że spoczywam na miękkim usłanem łóżku. Nie czułem już zawrotu głowy, nie czułem żadnego niepokoju, czułem się jakby duchem w przestrzeni. Nie zdawało mi się to być początkiem podróży, ale początkiem snu.

V.

Przybycie na księżyc.

Wkrótce Cavor zgasił lampkę, mówiąc, że trzeba oszczędzać światła, i czas jakiś lecieliśmy w ciemności. Naraz zapytałem mego towarzysza:

— W jakim też lecimy kierunku?

Lecimy od ziemi prostopadle w górę, a ponieważ księżyc jest prawie w swej trzeciej kwadrze, więc lecimy ku księżycowi. Zresztą podniosę okiennicę, to zobaczmy.

Niebo na zewnątrz było tak ciemne, jak wnętrze naszej kuli, z tą różnicą, że usiane niezliczonem mnóstwem gwiazd.

Gwiazdy, które widzimy w naszej mglistej atmosferze jakże są blade w porównaniu z tym pyłem świetlanym, który wtedy przedstawił się moim oczom!

Cavor szybko związał jedną okiennicę za drugą, nagle zamknąłem oczy, bo olśniła mnie światłość księżyca, gdyż Cavor zwinął aż cztery okiennice Cavoritu, aby siła przyciągająca tej planety mogła działać na kulę i przyciągać ją do siebie. Uczułem, że już nie jestem zawieszony w powietrzu, ale stoję na szklanej ścianie sfery, która zaczęła lecieć w kierunku księżyca. Wszystkie rzeczy znajdujące się wewnątrz, a które przed kilku minutami zdawały się pływać w powietrzu, teraz znalazły się spokojnie leżące obok mnie. Patrząc na księżyc zdawało mi się, że patrzę „w dół”, gdyż przyciąganie księżyca sprawiło, że ziemia była nad naszymi głowami, tymczasem gdy wszystkie okiennice Cavoritowe były zamknięte, pojęcie „w dół” znać było do środka kuli, a „w górę” ku jego ścianom.

Tak samo rzecz się miała ze światłem. Na ziemi światło przychodzi z góry lub z boków, do nas dochodziło ono z dołu, i żeby zobaczyć nasze cienie musieliśmy patrzeć w górę.

Uczułem pewien zawrót głowy, spoglądając na te nowe zjawiska, ale po chwili zawrót minął, a ja napawałem się widokiem nieznanych dotąd dziwów.

Ponieważ przestrzeń bezpowietrzna była czysta, więc wśród milionów gwiazd widzieliśmy księżyc bardzo wyraźnie. Był daleko większy, rozumie się, niż widziany z ziemi, a że żadna chmurka nie zaciemniała go, więc świecił jasnym choć łagodnym światłem. Stałem jak wryty i patrzyłem w dół na przybliżający się księżyc, którego kontury ostre i całą powierzchnię widziałem już jak na dłoni.

— Cavorze — rzekłem nagle — nie zdaje mi się, abyśmy tu jakie szacowne minerały znaleźli.

— Zobaczmy!

— Ciekawym, czy odniesiemy jaką korzyść z tej wyprawy?

Jednak przez chwilę snem mi się wydało całe moje przeszłe życie i ziemia, która teraz była od nas tak daleko, lecz spojrzawszy na numer Timesa i na różne ogłoszenia w nim wydrukowane wróciłem do rzeczywistości i zapytałem Cavora:

(d. c. n.)



Lapończycy z okolic Koły.

Fotografię tę nadesłał nam prenumerator „Wieloryb z Koly” z nad brzegów Morza Białego. Lapończycy należą do plemienia fińskiego i zamieszkują Norwegię, Szwecję i Rosję północną. Prowadzą życie koczujące, zajmując się przeważnie hodowlą reniferów, myślistwem i rybołówstwem. Sami wyrabiają sobie przedmioty na potrzeby domowe: ubrania, rękawice, naczynia drewniane, sanki i t. p. Z natury są łagodni, dobroniuszni i uczciwi.

Prosimy innych naszych czytelników o nadsyłanie fotografii lub rysunków mieszkańców ze swoich okolic.

MORSKIE OKO.

Ma pełna poezji nazwa uroczego tatrzańskiego jeziora nie jest obca czytelnikom „Wieczorów”. Wiedzą oni o nim nie tylko z geografii, lecz i z powieści p. Urbanowskiej „Róża bez kolców”, drukowanej w latach poprzednich (1900 i 1901). A może są i tacy szczęśliwi podróżnicy w ich gronie, którzy sami byli w Zakopanem i odbyli wycieczkę w góry, do tej perły Tatr naszych.

Nie będziemy więc teraz powtarzali opisu samego jeziora i jego właściwości, ani też malowniczych dróg i przejęć, które doń z Zakopanego prowadzą. Nie! w dzisiejszej pogadance wspomnimy o Morskiem Oku z innych względów.

Czy wiecie, co to jest spór graniczny?

Dwóch sąsiadów posiada przyległe obszary ziemi, rozdzielone granicą naturalną (rzeka, grzbiet pasma gór i t. p.) albo sztuczną to jest przeprowadzoną wśród pól, lasów czy łąk według uznania właścicieli i oznaczoną kopcami, i wykazywaną na planach obu ziem. Ale z biegiem czasu często się zdarza, że nawet bez złej woli człowieka kopce i znaki graniczne ulegają zniszczeniu, strumyki zmieniają swój bieg i następuje wątpliwość co do kierunku linii granicznej, bardzo trudna do rozstrzygnięcia, bo i opisy i mapy, zwłaszcza dawniejsze, nie zawsze bywają ściśle i dokładne.

Tymczasem od kierunku granicy zależy obszar danej ziemi. Jeśli stojąc, obrócony na północ, skieruję granicę choć trochę zbyt na wschód t. j. na prawo, skrzywdzę właściciela z prawej strony, bo część jego ziemi oddam lewemu i odwrotnie, a ziemia to przecie główne źródło bogactw i podstawa bytu. Nic więc dziwnego, że wśród posiadaczy ziemskich wszelkich epok i krajów zdarzały się często spo-

ry o kierunek granic, które nieraz trwały bardzo długo i doprowadzały do kłótni i nienawiści całe rody. Starano się wszędzie zapobiegać temu, wybierając przy działach większych zwłaszcza ziem i obszarów granice naturalne, stawiając trwałe znaki, wzywając świadków przy odmierzaniu granic, ale ząb czasu i działanie sił przyrody a niestety, często, — i chciwość ludzka, albo nieobecność lub niedbalstwo właścicieli przyczyniały się do tego, że granica się zmieniała i trzeba było wielkiej znajomości stosunków miejscowych i biegłości w prawie, aby rozwikłać takie spory, które w wielu krajach sądzili specjaliści sędziowie (np. u nas podkomorzowie), ciesząc się wyjątkowym zaufaniem i poważaniem mieszkańców danego powiatu. Istniał też niegdyś w niektórych miejscowościach zwyczaj, że przy sypaniu lub odnawianiu kopców granicznych wymierzano plagi na tych kopcach kilkunastu wyrostkom z sąsiednich wsi lub osad, a czyniono to dla tego, aby utrwalić w ich pamięci to miejsce, jako znak graniczny, żeby za jakie lat kilkadziesiąt, przy możliwych w przyszłości sporach, mogli z pewnością poświadczyć, gdzie się te kopce znajdowały. Zwyczaj ten okrutny i nieskuteczny naturalnie dawno już nie istnieje.

Spory graniczne bywają nie tylko między prywatnymi właścicielami, lecz i między państwami i krajami. Taki spór istniał właśnie między Galicyą a Węgrami, którzy zajęli ziemię Spiską, o kąt zawarty między Turnią Miegoszowiecką i Żabiem, przestrzeni około 980 mórg, lecz w którym właśnie leży Morskie Oko i Czarny Staw.

Zatargi graniczne polsko-węgierskie sięgały XIV wieku, bo trudno było w owych niedostępnych górskich miejscowościach, zwłaszcza w czasie częstych wojen z Turkami, ściśle oznaczać granice. Nieraz bywało zabory prywatnych właścicieli węgierskich wywoływały interwencję władzy królewskiej, jednakże ten właśnie kawałek ziemi z Morskiem Okiem i Czarnym Stawem był zawsze w posiadaniu

Pan Luty! Czas nareszcie opowiedzieć wam dzieje z ostatnich dwunastu lat życia naszego bohatera i przedstawić go jako szczęśliwego małżonka urodziwej...

A może zgadliście sami, kto była wybrana znajdy?

Znajda, tak! Stefan i dziś jeszcze nie wiedział prawdziwego swego nazwiska. Nie śmiałyby Adamek rzucić mu obelgę w oczy, bo pozyskał szacunek swoich współobywateli. Było ich zaś niemało, przybywały do Kurytyby coraz nowe partye wychodźców ze wszystkich stron kraju, a każdy emigrant osiedlający się w okolicach miasta, odczuwał dobroczynny wpływ wywierany przez pana Lutego.

Wpływ ten rósł w miarę, jak rosło wykształcenie i majątek Stefana. Kierowany radami O'Cleara nabywał on wiadomości koniecznych dla przewodniczącego wielkiemu zbiorowisku ludzi. Każdy gospodarz musi znać zakres potrzeb, środków i celów swego gospodarstwa; gospodarstwo zbiorowe jakiegokolwiek społecznej jednostki ma także swoje stałe prawa, i stałe warunki bytowania. Poznać te warunki, zastosować doświadczenie drugich ku pożytkowi nowego ludzkiego środowiska, oto nad czem pracował Stefan.

Kościół był pierwszym zbiorowem dziełem kolonistów, potem zbudowali oni w Kurytybie szkołę, szpital, założyli bank, a teraz właśnie zbierali fundusz na otwarcie spółkowego sklepu, który wyrwałby osadników z rąk sklepikarzy (*vendystów*).

Stefan nie zmarnował zbiorów uczonego Chryzostoma Dundera. Zawdzięczał ziołom znalezionym w jamie ratunek od złej gorączki, więc też zaraz po zbudowaniu *restorante polonense* umieścił w szklanej szafie numizmaty, pergamin i zasuszone rośliny, z tą nadzieją, że szafa będzie początkiem muzeum, gdzie wychodźcy znajdą wiele drogich im pamiątek. Dwie inne szafy mieściły bibliotekę osadników, stanowiły one główną ozdobę sali, w której Stefan obchodził dziś powrót swój z żoną z Europy, a w której co niedziela zgromadzano się na wspólne narady, często na odczyty.

Restorante polonense, jak ją nazywali Brazylijczycy, była miejscem zbornym dla nowo powstającej osady, stary wiarus Tomasz zawiadywał porządkiem w budynku, a Marcinowa objęła niepodzielną władzę nad kuchnią. Gotowała polewkę, barszcz, czerninę, zrazy, nauczyła się nawet przyprawiać mamałygę i kołduny, byle dogodzić gościom, którzy przychodzili do restorante radzić o wspólnych sprawach. Nic zaś tak nie podnosi w nas uczucia własnej godności, jak wypowiedanie śmiało myśli.

Koloniści tracili też powoli nieśmiałość, rozwiązywały się ich języki, nabierali pewności siebie. Słusznie mówił ksiądz Bakanowski, proboszcz londyńskiej parafii: nikt po roku przebytu zagranicą nie pozna polskiego emigranta. Czyści, przyzwoicie ubrani, słuchali na zebraniach w restorante spraw ogół obchodzących i zabierali w nich sami głos.

Dziś jednak nikt nie myślał stawiać wniosków, ani ich bronić przed krytyką oponenta, dziś zgromadzono się na wspólną zabawę, aby obchodzić powrót pana Lutego i poznać jego żonę. Bo Stefan się ożenił w Wągrowcu z Marysią Orzelówną, sierotą wychowaną jak i on na organistwówce.

— Wypiaستowałeś sobie żonę — powiedział ksiądz proboszcz, który sam błogosławił młodej parze przy ołtarzu. Narzeczona nie przypominała w niczem słabowitego dziecka, wyśmiewanego przez *Tamtych*. Marysia wyrosła na dorodną, zdrową, wesołą i pracowitą pannę, a takiej to właśnie żony potrzebuje osadnik. W moim narodowości, jaką jest Brazylia, giną jednostki zdenerwowane i apatyczne, rozkwitają zato bujne, dzielne i energiczne. Walczą tam ludzie o prawo bytu, jak w puszczy walczą rośliny o promień słońca.

Źle było Stefanowi bez rodziny, i zakładać ją powinien każdy zdrowy a szlachetnie myślący człowiek, bo uczucia rodzinne potęgują siłę ukochania całej ludzkości; kto ma gorące serce dla blizkich, ten i dalszych ogarnąć sercem potrafi.

Ale musiał on wprzód dać pomoc kolonistom, których przeprowadził z Sixtenlots na żyzne brzegi rzeki Ignassy, musiał zresztą urządzić własny los. Pozostał na stałe w Kurytybie, i założył fabrykę narzędzi rolniczych.

Fabryka narzędzi rolniczych? Tak. Stefan zaczął od założenia ślusarskiego warsztatu. Użył na ten cel pieniędzy złożonych w węgrowskim banku, ale warsztat rósł w zamożność z prawdziwie amerykańską szybkością. Szczęściło się Lutemu, błogosławił Bóg uczciwej pracy, nie brakło nigdy obstatunków w warsztacie. Zaludniała się Brazylia osadnikami, orano pola na których nie powstała dotąd stopa człowieka, potrzebowano więc narzędzi do uprawiania roli, potrzebowano pił do trzebień lasów. Pił i pługów dostarczała fabryka signora polaca Luta, jak nazywali Stefana kurytybscy brazylijczycy.

Znalazło w niej zajęcie kilkuset polskich robotników, pługi z marką S. L. (Stefan Luty) szły orać ziemię pod zasiew pszenicy, sprowadzanej z urodzajnych sandomierskich łanów, a dom jego i serce stały otworem dla każdego przybywającego biedaka.

Dom, własny dom! Ten tylko zrozumie urok posiadania swojej chaty, kto nie miał jej od dzieciństwa a zbudował ją sam w pocie czoła, jak budował Stefan strzechę dla siebie i dla Leona. Byli oni nierozłącznymi towarzyszami od chwili, kiedy biedny Nesabil, kierowany instynktem wdzięcznego serca, odszukał w jamie na pół przytomnego Stefana. Kadysia posiwała od starości, dzieliła losy swego pana i zdawała się rozumieć doniosłość przygotowań, robionych na przyjazd młodej pary z Europy. Bo Stefan zwierzył się ze swych zamiarów szanownemu proboszczowi i oddał przez rok cały pisywał do Marysi, a upoważniony przywiązaniem wiernie mu zachowaniem, pojechał w grudniu do Wągrowca.

Łatwo pojąć jakie jego obecność w rodzinnem mieszkaniu wywołała zdziwienie. Sierota, znajda, wracał dorodnym młodzieńcem, a miał tyle prostoty w obejściu, że zjednał sobie odrazu serca dawnych znajomych. Ujmował dobrocią i szczerością, nawet przekupki patrzyły życzliwie na dostatnio ubranego kawalera, bo ten kawaler witał się z każdą uprzejmie i nie zapominał, że miastu winien był swoje wychowanie.

I szedł znów Stefan tą samą drogą, na której stał wtedy, kiedy samotny i bezdomny opuszczał Wągrowiec może na zawsze. Mróz ściał ziemię, oszroniałe drzewa strząsały srebrne igły lodu, a on podziwiał piękność swojej natury i biło mu serce takim wzruszeniem, jakiego nie doznał nigdy w życiu. Uczuł, że tu jego miejsce, że należy do tej ziemi, do tych drzew spowitych w białe opony, do tych starych murów kościoła, w którym wymowne usta szanownego proboszcza uczyły go prawd Bożych, uczyły kochać matkę ziemię i braci bliźnich.

— On siał pierwsze ziarna miłości w sierocem mojem sercu — myślał Stefan i biegł wzruszony na plebanie, a potem witał kościelnego, i szedł do organistówki, żeby zobaczyć stare kęty, żeby podziękować Werębkom za opiekę daną jego dzieciństwu.

Kilka tygodni przebyte w Wągrowcu minęły jak sen, a teraz Stefan wracał z żoną do Brazylji, gdzie czekali go życzliwi współobywatele. *Restorante polonense* brzmiała muzyką, a młoda pani Lutowa zdobywała sobie uprzejmością i wdziękiem względy przyjaciół męża. Miał ich zaś nasz bohater bardzo wielu.

— Jeden Suwara tylko utopiłby pana Lutego w szklance wody — mówił Skiba, Wojciech czuł dziwny wstręt do rudobrodego wendysty*)

Suwara nie miał szczęścia, patrzano z niedowierzaniem na jego sklep, jak gdyby działa się w nim rzeczy, o których mówić niebezpiecznie.

Dziś jednak nikt nie psuł sobie zabawy wspomnieniem zazdroznego kupca. Nawet biedny Leon był wesel-

*) Wenda, sklep ze spożywczymi i lokciowymi towarami.

szy niż zwykle i uśmiechał się do pani Lutowej, która dla przypodobania się mężowi pragnęła pozyskać życzliwość Ziemniaka.

(d. c. n.)



NA WŁASNEM GOSPODARSTWIE.

Komedyjka w I-ym akcie.

(Dalszy ciąg.)

SCENA XII.

Ciż i Walentowa (*Wańdzia i Walentowa nakrywają do stołu w głębi*).

Konraś. Wyobraźcie sobie, jaki dziś miałem ambarras z odbiorem pieniędzy.

Amelka, Karolek, Antek (*ze zdziwieniem*). Pieniędzy?...

Konraś (*z powagą*). No tak, pieniędzy, cóż to dziwnego. Rodzice przysłali mi pieniądze na wydatki bieżące, na dom, a tu pan pocztmistrz utrzymuje, że małoletni, i że pieniędzy mi nie wyda. Oburzyłem się ogromnie i mówię mu: Cóż to pan myśli, że małoletnim to wszystko w sklepach i magazynach dają darmo? Czy pan sądzi, że my tak samo, jak starsi, nie możemy umrzeć z głodu, nie mając pieniędzy? A kto za to będzie odpowiedzialnym?

Antek. Tak mu powiedziałeś?

Konraś. A tak, i teraz coprędzej pobiegłem do rządcy, pokazałem mu list rodziców, rządcą poszedł ze mną i pan urzędnik pocztowy, musiał jak niepyszny, oddać mi pieniądze.

Antek i Karolek. Brawo, brawissimo, dowódzco Mordeliuszu Zbójce!

Wańdzia. Proszę was na herbatę, (*do Anulki i Jadzi*). Moje drogie, zostańcie, musicie już to zrobić dla mnie i napić się herbaty na mojem gospodarstwie.

Amelka. Ale jak to wszystko ładnie podane i nakryte!

Jadzia. Jak niczego nie brakuje: są nawet owoce, ciastka i bakalie.

Wańdzia. To już zasługa mego braciszka.

Siadają w takim porządku: Amelka, Jadzia, Nina, Wańdzia, Karolek, Antek i Konraś. Walentowa służy.

Karolek. Ale panna Wanda jakoś zrećźnie zatarła ową delikatną sprawę obiadową.

Wańdzia (*zagniewana*). Jak to rozumiesz?

Konraś. Ostrożnie, gotowa cię palnąć.

Wańdzia. Proszę, może szynki, masła?... **Karolek** (*oli jabłko*)... proszę nóż...

Karolek. Dziękuję!... (*obierając jabłko, półgłosem do Wańdzy*). Pod sekretem przyznaj się, Wańdziu, że ta sprawa obiadowa gwałtownie domaga się zapuszczenia na nią asłony. Przyznaj się, a nic nikomu nie powiem.

Wańdzia (*oburzona*). Przepraszam, nie mam nic do krycia. Konraś, mów nareszcie, co dziś było na obiad?

Konraś. Czekaćcie! (*namyślując się*). Był krupnik, i krupnik, pamiętam dobrze...

Nina. I zrazy z kaszą.

Amelka. Krupnik i... kasza?

Karolek. Kasza i kasza, a na leguminę czy nie było asem zapiekanej kaszki?

Jadzia. Ja bardzo lubię wszelkie kasze.

Karolek (*do Wańdzy*). A widzisz, trzeba było wejść mną w układ.

Wańdzia. Proszę mi nie dokuczać.

Antek. Z przeproszeniem pani dobrodziejki, czy i jutro będzie taki kaszany, czy też kaszowy obiad?

Karolek (*klepiąc Konrasia protekcyjonalnie po ramieniu*). Biedny ty chłopcze, wzięty na kataplazmy na wewnątrz. A może ty chory, a może doktorzy zalecili ci taką dziwną kurację?

Wańdzia (*ze łzami w oczach*). Walentowa doradziła mi...

Nina. Obiad był dobry, doskonały, nie dokuczajcie mojej Wańdzi.

Wańdzia (*całuje Ninę*). Nina najmniejsza, a jednak najlepsza.

Antek. Wnoszę prośbę do prześwietnego przywódcy bandy, Mordeliusza Zbójckiego, umorzenia sprawy kaszowego obiadu.

Konraś. Na wniosek towarzysza Fokus Pokus Zawadyackiego, niniejszem sprawa kaszowego obiadu umarza się. Niewolnica Wanda przypuszczona do łaski z upomnieniem li tylko lepszej nadal dyspozycji obiadów.

Wszystcy. Brawo, brawissimo, dowódca Mordeliusz Zbójce!

Wańdzia. Protestuję — nie jestem niewolnicą.

Konraś (*groźnie*). Wszystkie jesteście niewolnicami naszej bandy.

Wańdzia, Jadzia, Amelka. Nie, nie, nie jesteśmy niewolnicami!

Nina. I ja nie niewolnica...

Antek. Czy to bunt?

Dziewczynki (*wstając*). Bunt! bunt! bunt!...

Konraś, Antek, Karolek (*uzbrajając się w łaski i parasole*). Pif! paf!... Poddajcie się! poddajcie!...

Głos babci za sceną. Wandeczko! Wańdziu! co to za krzyki? co się tam dzieje? (*Wańdzia wychodzi*).

SCENA XII.

Ciż oprócz Wańdzy.

Antek. Co wódz Mordeliusz Zbójnicki rozkaże czy nic z buntującymi się babami?

Jadzia, Amelka (*oburzone*). Babami?!

Jadzia. To okropne.

Amelka. Szkaradne.

Nina. Chłopcy niegrzeczni!

Konraś. Rozkazuję uwięzić buntowniczeki.

Amelka, Jadzia, Nina (*w obronnej postawie*). Sprobujcie tylko, zobaczycie!

SCENA VIII.

Ciż i Wańdzia.

Wańdzia (*zakłopotana*). Przepraszam was bardzo, ale.. babcia czuje się niezupełnie dobrze...

Jadzia. Już dawnó pora nam do domu!

Amelka. Długo bardzo zabawiliśmy się tutaj.

Antek. O, i na nas czas wielki!

Karolek. Trzeba strój zmienić.

Konraś. Zbierzmy się jeszcze kiedy i zabawmy w zbójców.

Amelka. To bardzo wesoło, proszę do nas.

Jadzia. A może do nas, to jeszcze bliżej.

Karolek. Dowódcę z szacunkiem całuje się w ramię.

Konraś (*do ust mu podsuwając rękę*). Możesz nawet w rękę.

Karolek (*uderza go po ręce*). Jeszcze czego!

Konraś. Zgroza!.. obraziłeś dowódcę... sroga czeka cię kara!

Antek. Wniosek... na dziś umorzyć wszystkie sprawy.

Konraś. Przebaczenie!

Wszystcy. Brawo! brawissimo! Mordeliusz Zbójnicki!

Głos babci. Ninu! Nineczko!

Wszyscy. No, już do widzenia! do widzenia!
(*Anulka, Jadzia, Karolek, Antek, wychodzą drzwiami środkowymi, Ninka wybiega na prawo.*)

SCENA XIV.

Konraś, Wańdzia.

Wańdzia. Boże! co nieporządku! Trzeba wszystko pozbierać. (*podczas całej tej sceny chodzi i porządkuje.*)

Konraś. Już to babcia zawsze każdą przyjemność zepsuje człowiekowi! Ładnie gości wypraszać! няма co mówić!

Wańdzia. Szkoda zeczywiście, tak dobrze bawiliśmy się, ale babcia mówi, że bez starszych nie można tak dokazywać.

Konraś. Czyż robiliśmy co złego? Przecież tatko nie chce wychować nas na niuńki, umiejące bawić się tylko pod okiem starszych.

Wańdzia. Biedna babcia, widocznie cierpi dziś gorzej na reumatyzm, nie trzeba na nią narzekać. Ale powiedz mi Konrasiu, skąd wziąłeś pieniędzy na tyle sprawunków? Ile rodzice przysłali? Daj mi na jutrzejszy obiad.

Konraś (*zakłopotany*). Nic ci dać nie mogę, bo nic nie mam.

Wańdzia. Jaktó, chyba żartujesz?

Konraś. Cóż chcesz, to wszystko dużo kosztuje: owoce, ciastka, masło, szynka...

Wańdzia. I cóż rodzice przysłali?

Konraś. Trzy ruble.

Wańdzia. Jaktó! i ty całe trzy ruble wydałeś na jeden wieczór? A za cóż jutro Walentowa obiad nam ugotuje?

Konraś (*j. w.*). Przecież mówiłaś mi, że tam jeszcze coś zaoszczędziłaś z dawniejszych rachunków.

Wańdzia (*żałośnie*). Mam tylko 28 kop i co ja pocznę nieszczęśliwa! Czyż można, Konrasiu, być tak nieopiecznym, lekkomyślnym...

Konraś. No, proszę cię, już tylko bez morałów!

Wańdzia. Dobry sobie! nabroiłeś a teraz nie chcesz słuchać prawdy. (*Z rozpaczą*). I co my jutro jeść będziemy.

Konraś. Jutro... jutro... możemy zjeść obiad postny!

Wańdzia. Et, głupstwa pleciesz. Nie masz pojęcia ani wyobrażenia o gospodarstwie i wiesz, że potrawy postne drożej kosztują, niż mięsne (*liczy po cichu*).

Konraś. I czego tak mruczysz?

Wańdzia. Obliczam, czy 55 kop. może nam wystarczyć na jutro.

Konraś. Co tam jutro, ale dziś zabawiliśmy się krótko, ale dobrze.

Wańdzia. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny. (*Przez chwilę myśli, potem wykrzykuje radośnie*). Znalazłam! wybornie! doskonale! Kupię tylko 1½ funta mięsa na ko-

tlety. Mamusia zawsze mówi, że na kotlety najmniej mięsa wychodzi. Od wczoraj zostało trochę maki, na zupełną więc będzie postna zacierka, a do kotletów podam parę ogórków, żeby było coś ostrzejszego. Wystarczy nawet na bułki i mleko.

Konraś. A jeżeli i pojutrze rodzice nie wrócą?

Wańdzia. To już trudno, z twojej łaski będziemy na głód skazani.

Konraś (*gniewnie*). Z mojej łaski... z mojej łaski (*nagle*). Otóż nie! sprzedam zegarek i przeze mnie głodu cierpieć nie będziecie.

(*d c. n.*)

SZARADA.

E. L.

*Pierwszego źródło z wyżyn Sabaudzkich się sączy,
A potem do zatoki Weneckiej, bieg rączy
Fal swych tocząc, w tej drodze łączy się ogniwem
Z rzekami, co drugiego z trzeciem są odpływem.
Wszystko zaś jakkolwiek w następstwach smrotne,
Należy się wszystkiemu, co złe i przewrotne.*

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Szarady: Tem — pe — ra — tu — ra.

Łamigłówniki geograficznej:

Rodan — Duero — Ren — Nida — Don — Ner.

Od Redakcyi.

Termin nadsyłania robót ręcznych na konkurs wobec licznych żądań naszych czytelniczek przedłużamy do 5-go listopada.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych.”

Z księgarni Polskiej (Warecka 14).

Krótki zarys piśmiennictwa polskiego od czasów najdawniejszych do końca XVIII w., opracowała W. Weycher-tówna.

Cudowna historia Joanny d'Arc, świątobliwej francuskiej dziewczicy. Z rysunkami, F. Morzycka.

Ulicznik warszawski z powieści Z. Bukowieckiej p. t. „Dzieci Warszawy.”

Nasz Mały, przez W. Kosiakiewicza.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał 4-ty dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartałna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Laponcy cy z okolic Koly (z ryc.) — Morskie Oko (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Na własnym gospodarstwie, komedyjka w 1-ym akcie. — Łamigłównka i rozwiązania. — Dodatek: Wolę ciebie Burku, wiersz przez Z. W. Z. (z ryc.) — Wróżka sierot. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Wolę ciebie Burku.

Wolę ciebie, Burku, wolę
Niżli kota obłudnika;
Chętniej z tobą poswawolę,
Nawet oddam pół piernika,
Co smakuje doskonale,
Bo nie drapiesz, piesku, wcale.

Kotek źle jest wychowany:
Oto wczoraj wśród zabawy
Skoczył ku mnie rozigrany —
Drap!... i znak na ręce krwawy.
A to przecie tak nie można,
Kizia winna być ostrożna.

Prawda, Burku, tybyś tego
Nie uczynił za nic w świecie?
Wiele świadczysz mi dobrego,
Gdy mnie wozisz na swym grzbiecie,
Nie gniewasz się, gdy swawolę;
Wolę ciebie, Burku, wolę!

Z. W. Z.



Wróżka sierot.

Na progu ubogiej chatki siedziała maleńka dziewczynka.

Miała śliczne niebieskie oczy, ale nie widać ich prawie, takie czerwoneji zapłakane.

Bo też było czego płakać. Maleńka jest sierotką, jej matka i tata dawno zmarli, a źli ludzie w świat iść kazali.

Podniosła się więc maleńka z progu, westchnęła smutnie i poszła przed siebie, sama nie wiedząc gdzie, tam hen! daleko, gdzie świat się styka z niebem.

Szła i szła przez zielone łąki, przez pola zbożem okryte, coraz dalej, dalej, aż na sam kraniec ziemi. Wieczór był prześliczny, ciepły i pogodny, to też niedługo maleńka przestała płakać, bo czyż mogła być smutna,

gdy tyle kwiatów wkoło niej kwitło, a ptaszki tak wesoło śpiewały.

Zaczęła i ona śpiewać do wtóru. Z początku cichutko, potem coraz głośniej świegotała na wyścigi. A wtem spostrzegła pod drzewem czerwoną jagodę i ucieszyła się bardzo, bo przypomniała sobie, że od obiadu nic nie jadła, i że jagódki pewnie smakować jej będą. Biegała tak od jednej do drugiej, śpiewając, i mimowoli zagłębiała się w lesie.

Zmęczona, usiadła wreszcie pod drzewem, potem chciała znów szukać jagód, ale jakoś dopatrzyć ich nie mogła, bo coraz ciemniej robiło się w borze, słońce zaśzło i przestraszona nocą dziewczynka, zaczęła biedzić przed siebie bez pamięci.

Ciernie i głogi darły jej sukienkę, deptała nóżkami jagody i konwale, ale nie zważa na nic, idzie odważnie, chociaż wolniej, bo zmęczyła się bardzo, z ocz łzy płyną, a las coraz gęstszy, noc coraz ciemniejsza i coraz trudniej jest iść maleńkiej, nóżki bolą ją bardzo, na

przewróciła się kilka razy ze strachu. A jakże się nie bać, kiedy od czasu do czasu zaświecą oczy przebiegającego zwierza, lub nocny ptak załopocze skrzydłami w gałęziach drzew, albo co gorsza sowa krzyknie przeraźliwie.

W lesie w nocy dziwne dzieją się rzeczy.

Maleńka już nie biegnie, siedzi przytulona do grubego pnia sosny i woła mamy, która jej jednak usłyszeć nie może.

Czy nie może? Maleńka nie myśli o tem, otworzyła zamknięte przed chwilą oczka i patrzy zdziwiona, od czarnego niebios sklepienia. oderwał się mały, srebrny obłoczek i opuszcza skrzydła coraz niżej ku ziemi.

Skrzydła, bo z obłoczka wyłania się przezroczysta skrzydlata pani, pochyla nad maleńką swą bielutką twarz i szepce jej cichutko a słodko do ucha.

— Czy mnie nie poznajesz?

Maleńka poznała ją odrazu i wyciąga obie rączki do swej kochanej, jedynej mateczki.

Teraz jej dobrze, teraz się nie boi, chociaż to nie jej dawna mama, ale jakieś dziwne zjawisko z mgły i prze-zroczca. Tak jej miło, tak słodko, gdy ją duch biały okrył srebrzystym welonem i uniósł z sobą w powietrze. Już są wysoko ponad ciemnym lasem, ponad łąkami zielonemi, ponad chatami, w których ludzie śpią o tej godzinie.

Obie lecą do gwiazd, do srebrnego miesiąca, coraz prędzej, hen wysoko w dal bez końca.

A maleńkiej tak dobrze, że się nawet nie pyta, gdzie ją niesie srebrny obłoczek, przecież to jej mateńka, z nią może być bezpieczna i spokojna.

Lecą, lecą, coraz wyżej, coraz chyżej, aż naraz ogarnął ich biały tuman, maleńka nie widzi już ani ziemi, ani gwiazd, ani miesiąca, tylko mgłę białą dokoła siebie, tak gęstą mgłę, że jej przejrzeć nie może.

— Co to jest, mateczko? — woła przerażona.

Duch położył chłodną rękę na czole dziecka i rzekł smutnym głosem:

— Tu koniec naszej podróży, sierotko moja. Tam gdzie ja jestem, ze mną być nie możesz, dlatego zaniósł cię do dobrej wróżki. Będiesz szczęśliwa, jeśli będziesz posłuszna, a nie zapomnij o swojej mateczce.

I nim maleńka odpowiedzieć zdołała, duch zniknął, a ona tylko uczuła na czole chłodną kropelkę łzy matczynej.

Była samą wśród mgły i obłoków, wznosiła się na nich wielka, błyszcząca brama, która zamykała cudny, kwiatami okryty ogród.

Maleńka przyciskała do kraty twarzyczkę, by móc się lepiej przyjrzeć pięknym kwiatkom, a wtem drzwi ogrodu otworzył nagle ślicznie ubrany chłopczyk.

— Jestem Ognikiem — zawołał wesoło, biorąc dziewczynkę za rękę — pójdź bawić się z nami, tylko powiedz, jak ci na imię?

— Mama w domu nazywała mnie Maleńką — szepnęła nieśmiało sierotka.

— Maleńka, ależ ślicznie, Maleńka, bardzo podoba mi się ta nazwa. Chodź, zaprowadzę cię do naszej pani.

I biegli razem przez ogród, ale w tej chwili właśnie przeleciał nad główkami dzieci śliczny motyl. Ognik skoczył za nim, Maleńka została sama. Nie bała się jednak niczego, tylko dziwiła cudom, których nie widziała nigdy.

W koło rosły róże i kwiaty o barwach drogich kamieni, mieniające się rosą jak tęcza, tysiące motyli różowych, białych, niebieskich, żółtych, fruwało w powietrzu, złote ptaszki przelatywały z gałązki na gałązkę, śpiewając wesołe piosenki.

A nad tem wszystkiem, wśród drzew i zieleni, na tle różnobarwnych promieni słońca, wznosił się prześliczny pałac, cały ze złota i drogich kamieni, tak błyszczący w słońcu, że Maleńka oczy rączką przysłonić musiała.

W główce też wszystko kręcić się jej zaczęło, nie mogła pojąć, gdzie jest i co ją otacza, szła bezwiednie po drożynach wysypanych białymi jak śnieg kryształami, po białych marmurowych schodach pałacu i zatrzymała się nagle w wielkiej sali, gdzie na tronie z pereł i koralów siedziała piękna pani.

Miała na złotych włosach koronę z gwiazd, z ramion spływał płaszcz różowy, jak jutrzeńka, cały usiany promieniami słońca, a twarz słodką i jeszcze słodsze oczy.

Była to dobra wróżka sierotek, dokoła niej bawiło się tysiące dzieci w sukienkach pięknych jak kwiatki.

Jak tylko weszła Maleńka, wróżka uśmiechnęła się do niej i przywołała łaskawie a tak łagodnie, że choć dziewczynka była nieśmiała, dała się wziąć za rączkę i popieścić.

— Patrz — mówiła wróżka sierotek — patrz, wszystko co znajdziesz u mnie, jest twoją własnością: zabawki, owoce, kwiaty, gwiazdki, motyle, ptaszki, tylko tej białej różyczki, co tam kwitnie osobno, ruszyć ci nie wolno; przeznaczona jest ona dla sierotki, jeszcze biedniejszej od ciebie. Pamiętaj o tem, a teraz idź baw się i bądź wesoła.

Maleńka miała już odejść, kiedy wróżka dotknęła ją swą różdżką i nagle...

(d. n.)

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

24. Ośliczka czyli stonoga wodna.



o się nazywa mieć szczęście. Przy jednym ogniu upiekłem dwie pieczenie.

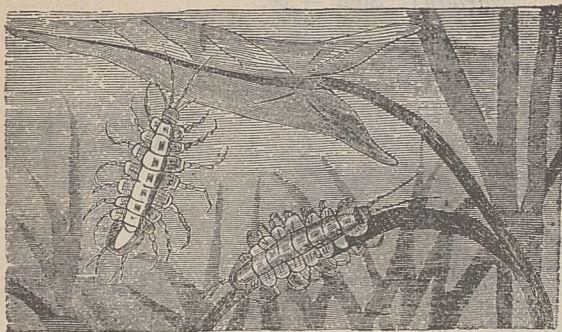
W słoiku, w którym hodowałem planarye, znalazłem znowu jakieś stworzenie, zupełnie dla mnie dotąd nieznanne. Przyglądałem się, jest ono może półtora centymetra długie, ma 4 macki na przodzie i 7 par nóg...

Szukam określenia w książce, w rozdziale owadów — nie znajduję nic podobnego.

Zaglądam do rodziny skorupiaków — widzę na obrazku zupełnie podobne stworzenie, które ma jeszcze przy końcu odwioła przysadki do oddychania.

Szukam — czy też to zwierzątko ma owe przysadki, biorę lupę — widzę je, widzę doskonale! O, jak niemi porusza, a więc mam go, nazywa się ośliczką.

Mądrała też ze mnie! Szukam w rozdziale owadów stworzenia, które ma 7 par nóg, a przecież doskonale



Ośliczka czyli stonoga wodna.

wiem, że owady mają tylko 3 pary. Czasem z wielkiej radości traci się prawie pamięć. Przekonałem się, że ośliczka czyli stonoga wodna, jak ją nazywają, jest dra-
pieżna, bo pozjadała w moim słoju mnóstwo cyklopów i rozwielitek, ale nie wyrzucę jej za nic, bo muszę się z nią bliżej zapoznać.

Ciekawą też rzecz dostrzegłem, że samica nosi ikry w woreczku na piersi umieszczonym. Po pewnym czasie skórka pęka i z woreczka wychodzi mnóstwo małych stonózek.

Bardzo są zręczne, pływają doskonale i czepiają się gałęzi roślin wodnych. Ulubionem ich miejscem pobytu jest brudna łąka lub staw zarośnięty, gdzie siedzą pod liśćmi grzęzli.

Dopiero się dziadek ucieszył! Jutro idę do niego. Obym go tylko zastał zdrowszym.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Największą przyjemnością — zawołał mąż uradowany, widząc ożywienie na twarzy żony — gotów jestem zawsze spełnić każde twoje żądanie, a przede wszystkim, gdy ma dobry uczynek na celu. Chętnie pojedę z tobą i dziećmi do Granicy i ułatwię im przejazd.

Dotrzymali też w zupełności przyrzeczenia. W kilka dni Nelli powróciła do zdrowia i wszyscy pojechali w dalszą drogę. W Granicy czułe i serdeczne było pożegnanie. Oboje państwo objaśnili Wojtaszka, jak się ma zabrać do poszukiwania rodziców dziewczynki, opatrzyli pieniędzmi i pożywieniem, a w końcu rzekli:

— A więc rozstajemy się, nic więcej nie możemy dla was zrobić; a pamiętajcie, gdy będziecie wśród swoich, wspomnijcie także czasami i o nas.

Dzieci z wdzięcznością ucałowały im ręce.

— O, nie zapomnimy nigdy, nigdy! Mira i państwo pozostaną na zawsze w naszych sercach i pamięci, a gdy się nauczymy pisać, oboje napiszemy do państwa.

Ostatnie pożegnanie i pociąg powiózł dzieci do Warszawy, do miejsca tak upragnionego przez Wojtaszka.

Boże! jak to leci, ten pociąg, jak strzała! Drzewa, krzaki, bydło pasące się w polu, wszystko tylko miga przed oczami! Chciałoby się temu przypatrzeć, ale czyż można? Tu jest, tu już niemal Wojtaszkowi zdawało się, że poznał swoją Krasulę. Skoczył do okna, wychylił się, lecz w tej chwili jakaś silna ręka chwyciła go wpół i wciągnęła do wagonu.]

— Dziecko, co ty wyrabiasz, czy wiesz, co za niebezpieczeństwo groziło ci w tej chwili, gdyś tak lekkomyślnie wychylił się przez okno? Silny prąd powietrza mógł sparaliżować ci szyję, nerwy oczne, i mógłbyś oślepnąć na całe życie!

Wojtaszek tłumaczył się.

— A bo to, proszę pana, zobaczyłem taką samientką jak nasza Krasula, a może to i ona, miała strzałkę na łbie i dwie łatki na krzyżu?

Pan roześmiał się!

— No, tak, rozumiem, zobaczyć Krasulę, kiedy jej się dawno nie widziało, to musi być ogromnie przyjemnie, niemniej jednak trzeba o tem pamiętać, com ci przed chwilą powiedział! Nigdy, jadąc koleją nie należy wychylać się przez okna, zwłaszcza pod wiatr, nawet, choćby się zobaczyło, nie tylko Krasulę, ale całą rodzinę, bo potem, możnaby jej już nigdy nie widzieć!

— O, dziękuję, dziękuję panu za przestrożę — zawołał, usiadł w kącie wagonu i zaczął myśleć, jak to dobrze, że go wiatr nie oślepił, bo któżby małą Nelli odprowadził do domu i coby on sam robił, gdyby naraz miał ciemność przed oczami. Pan Bóg, już tyle razy odwrócił od niego niebezpieczeństwo, tyle razy zesłał mu dobrych ludzi z pomocą! O jakże wielka wdzięczność wezbrała w sercu chłopca, dla tego wielkiego Opiekuna, który jest w niebie!

Świst przeciągły, długi, przerywa mu wątek myśli.

— Za dwadzieścia minut będziemy w Warszawie — mówi ktoś głośno.

Dzieci poruszają się z zadowoleniem! To już nie długo staną u celu, jak to dobrze! Wojtaszek zaraz rozpyta się ludzi o rodziców dziewczynki, a później o panica, co w Brzezinkach drzewa i rzekę rysował. On go nauczył pisać i czytać, może sobie zarobi gdzie trochę pieniędzy, kupi piękne podarunki dla małych siostrzyczek i wróci do chaty ojcowskiej; a jakże! wróci do Brzezinek, bo gdzieżby miał iść, tylko do swoich na wieś. Ogromnie mu już pilno do tej swojej chaty, coraz częściej o niej myśli, o stryju starym, łagodnym, dobrym, o siostrzyczkach! Stryjenka może też już nie będzie gderać i łajać, może po takim długim niewidzeniu będzie dla niego dobra?

Zapiął paltocik małej towarzysze i węzełek chwycił w rękę!

— Otóż jesteśmy u celu, — znów ktoś oznajmia — pociąg zwalnia biegu.

Wszyscy cisną się do wyjścia, dzieci wychodzą ostatnie!

Warszawa! Warszawa! Krzyk, hałas na stacyi ogromny.

Przyjezdni biegają, szukając znajomych lub krewnych, ściskają się, całują, wszędzie gwar, śmiechy, nawoływania. Spieszą się, każdy załatwia odbiór rzeczy

pospiesznie, aby się tylko jak najprędzej wydostać z tłumu i znaleźć nareszcie w domu. Dzieci tylko stoją samotnie, niepewne co robić! Po nich nikt nie przyszedł, z ich powrotu do kraju nikt się nie ucieszył, a przecież takim niemal cudem wyrwani zostali z rąk niegodziwego Czardaja. Obojgu zrobiło się smutno na duszy, a nawet łza w oku zaświeciła. Wojtaszek prędko oczy otarł, aby Nelli ich nie dostrzegła, bo i ona mrugała, mrugała długo, więc i jej duża przezroczysta kropelka osiadła na długich, ciemnych rzęsach, świeciła jak brylant, jak gwiazdka nad modremi oczami, które do każdego, kto na nią spojrzał zdawały się mówić:

— Powiedźcie dobrzy ludzie, gdzie mieszka moja mamusia i tatuś, powiedźcie Wojtaszkowi, bo nie wie, a chce mnie do nich zaprowadzić!

(c. d. n.)

SZARADA.

*Pierwsze drugie to wy sami
Albo braciszkuwie,
Drugie pierwsze za morzami
Miasto tak się zowie.
Bardzo smaczne drugie trzecie
W zimnej galarecie,
Wszystko — zawsze ulubione,
Świeże czy smażone.*

ŁAMIGŁÓWKA ARYTMETYCZNA.

p. R. J.

Ktoś się zapytał kupca, ile ma jabłek — ten na to odpowiedział:

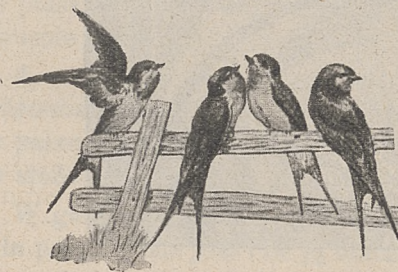
— Jeśli do piątej części tych, które mam, dodacie 10 jabłek, będę miał trzy razy mniej, aniżeli teraz.
Ile kupiec miał jabłek?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 37.

Arytmogryfu :

- 1) M a S ł o
- 2) K t o
- 3) T r a w a
- 4) K o n a k
- 5) L i n
- 6) P a s e k
- 7) K o ł e k
- 8) L a k
- 9) W i w a t
- 10) J a J k o
- 11) T a k
- 12) S o c h a
- 13) P u h a r
- 14) S o k
- 15) W a w e l
- 16) B i n y
- 17) O c h
- 18) J a z o n

Szarady: Słoń — ce.



Skrzynka do listów.

Na konkurs tegoroczny otrzymaliśmy bardzo wiele *wypracowań*, które obecnie czytamy i rozpatrujemy. Spodziewamy się, że zdołamy ogłosić sprawozdanie już w przyszłym numerze.

Wobec żądań wielu panienek i dziewczynek termin **konkursu na roboty ręczne przedłużamy do 5 listopada r. b.**, „komu się więcej daje od tego będzie więcej wymagane”, więc i czytelniczki „Wieczorów”, którym w czasie wakacji brakło ochoty i cierpliwości, żeby się zabrać do igły lub szydełka, teraz w ciągu października wezmą się do roboty i pokażą, co umieją pomnąć i o tem także, że plon konkursowy będzie „gwiazdką” dla biednej dziatwy. A ileż to można zrobić w ciągu pięciu tygodni!

Łamigłówni kropkowanej „Marti” dla koleżanki Zosi W. nie będziemy mogli umieścić, prosimy o inne.

Arytmogryf z podobnem rozwiązaniem, co druga łamigłówni sylabowa Jany, był przed paru tygodniami umieszczony w „Wieczorach”. Trzeba się wystrzegać powtarzań.

M. Gl. Zaginiony nr. wysłaliśmy.

Zawiadamiamy Baniutę, że Halka z nad Teterowa zgadza się na korespondowanie z tobą. Przyślij nam swój adres, a wzmianę pošlemy ci adres Halki.

List Goryczki zachowamy do powrotu Jaskółki. Możemy ogłosić, że chcesz wymieniać karty pocztowe z czytelniczkami „Wieczorów”. Będzie to początek korespondencji, ale do tego potrzeba zgody twoich rodziców i dokładny adres.

Cierpliwości, cierpliwości Tadiusz G, a dowiesz się wreszcie, co się stanie z Wojtaszkiem i jego towarzyszką. Kto chce wiedzieć od razu koniec powieści, przypomina takiego, który zaraz po zakupie bierze się do leguminy.

Geni C. Jaskółka wraca do nas za tydzień, narzeka trochę na niepogodę, która jej psuła pobyt na wsi i zapytuje, czy dużo listów przychodzi dla niej. Piszcie między innymi. „Wakacje już się skończyły, w mieście musi być pełno chłopców i dziewczynek, którzy zabrali się do roboty szkolnej, a i po wsiach już rozpoczęto lekcje domowe. Wszystko to moi przyjaciele i przyjaciółki serdeczne. Tęskno im teraz do wsi i domów, żal swobodnego, lekkiego spędzania czasu, ale niech redakcja im powie ode mnie, że po tygodniu z zapalem słuchanych i przygotowanych lekcji z kolegami i koleżankami tęsknota się rozproszy, a żal zastąpi radosne poczucie zadowolenia dobrze spełnianych obowiązków. *Probatum est* (to rzecz dowiedziona) jak mówili dawni profesorowie!

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Złota Ostroga, Konstanty Turczyński, Goryczka, Aluś, Aniela i Benek Klotzowie, Jana, Władysław Radwan, Malwina Glińska, Marti, Rybka, Jaś Cz., Cavor, Stefcia Zam. i Kary Konik.

Żarcik na zakończenie.

Na egzaminie. — Czy możesz powiedzieć, jak dawno Kolumb odkrył Amerykę?

— Nie, nie mogę, bo przy tem nie byłem.